

LESZEK POSŁUSZNY



**MASZ 30
NIEPRZECZYTANYCH
WIADOMOŚCI**

Leszek Połuszny

Masz 30 nieprzeczytanych wiadomości



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Leszek Połuszny
„Masz 30 nieprzeczytanych wiadomości”

Copyright © by Leszek Połuszny, 2018
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Korekta: autor zrezygnował z korekty profesjonalnej
Projekt okładki i opracowanie graficzne: Dorota Buda
Zdjęcia w tekście i na okładce: Alicja Połuszna
Skład epub, mobi i pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-407-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE.....	7
WESELE.....	9
DWIE KOBIETY.....	15
BOBAS.....	32
ŚMIECIARZ.....	39
I NIE OPUSZCZĘ CIĘ.....	45
ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA.....	50
I CO DALEJ...?.....	55
ŚWIAT DZIECKA.....	61
MIRANDA.....	79
JAŚNIE PANI WÓJTÓWNA.....	89
PAJĄK.....	103
CICHA NOC.....	107
KUBUŚ PUCHATEK JEST NIEPOCZYTALNY.....	119
MIŁOŚĆ SIERŚCIUCHA.....	122
NIE-ZNOŚNIK.....	126
MATKA.....	139
WYSPA SKARBÓW.....	141
KARIERA.....	146
NOWY DOM.....	160
SZWEJK IDZIE NA WOJNĘ.....	169

NAGA AMAZONKA.....	172
DZISIAJ SĄ MOJE URODZINY.....	196
WILK W BUTACH.....	199
OMNIS MORIAR.....	208
KOLONIA.....	212
SAMOTNIK W JAMIE USTNEJ.....	222
SYSTEM.....	225
LARWA KROK.....	234
BAL U SENATORA	244
POŻYCZKA.....	250
OTIUM NEGOTIOSUM.....	256

Uśmiech usta poszerza, ale i horyzonty...



SŁOWO WSTĘPNE

Tragedia ostatniego zęba, samotność na wpółotwartej prezerwatywy oraz bohatera mrówka, czyli kilka słów o nowym tomie opowiadań Leszka Połusznego.

Po znakomitym zbiorze opowiadań *Pod oknem Suflera* przyszła kolej na nową odsłonę. *Masz 30 nieodebranych wiadomości* to już drugi tom opowiadań Leszka Połusznego. Podobnie jak w tomie pierwszym i tu autor posługuje się groteską i alegorią jako podstawowymi środkami wypowiedzi. W swojej poprzedniej recenzji porównałam styl autora *Święta dziękczynienia* do znanych bajkopisarzy, ze względu na alegoryczny charakter jego narracji, a także do Becketta i Ionesco, ze względu na mistrzowskie posługiwanie się absurdem, czy wreszcie do Vonneguta z racji niezwykłości i bezkompromisowości przy konstruowaniu świata przedstawionego. Leszek Połusznym jest artystą niebanalnym i mimo tych porównań i powinowactw artystycznych całkowicie niezależnym i oryginalnym.

W artystycznym warsztacie Leszka Połusznego najbardziej zachwycają mnie jego niczym nieokiełznana wyobraźnia oraz poczucie humoru, które ujawniają się zarówno poprzez konstrukcje świata przedstawionego, jak i język, którym się autor posługuje. Jego żywołość, jędrność, plastyczność oraz wpływający z niego dowcip uprzyjemniają czytanie. Opisy,

riposty, pointy, cięte komentarze, ciekawe asocjacje skojarzeniowe kreuja i jednocześnie pogłębiaja obraz obserwowanego przez autora swiata. Czesto bohaterami opowiadań Leszka Posłusznego, podobnie jak poprzednio, są zwierzęta ze szczególnym uwzględnieniem owadów, jednak więcej w tym tomie jest opowiadań, w których bohaterami są ludzie czy przedmioty. W zbiorze tym dostrzegam jeszcze większą niż poprzednio różnorodność form wypowiedzi oraz chęć eksperymentowania warsztatowego i to na poziomie kompozycji, konwencji, jak i języka, czego przykładem może być choćby opowiadanie *Cicha noc*. W opowiadaniach Leszka Posłusznego zdumiewa to, jak pod pozorem niby to banalnego dialogu kija bejsbolowego z chusteczką do nosa, jak to ma miejsce w opowiadaniu *Omnis moriar*, czy monologu wewnętrznego ostatniego zęba z opowiadania *Samotnik w jamie ustnej*, ujawnia się głębia ludzkich doznań, lęków, złudzeń i rozczarowań. Ta oryginalna forma opowiadania o słabościach ludzkiej natury, o kondycji współczesnego swiata, o tęsknocie i przemijaniu odsłania niezwykłą wrażliwość artysty, jego oryginalność, poczucie humoru, dystans wobec swiata i samego siebie i – co tu dużo mówić – jego geniusz. Leszek Posłuszny w swojej wypowiedzi artystycznej jest niezwykle szczery, czasem aż brutalny, jest to jednak świadectwem trzeźwości jego osądu, wnikliwości obserwacji i niezależności w myśleniu. W jego opowiadaniach nie brak też świadectwa jego wrażliwości i nawet liryzmu, czego przykładem może być choćby obraz misia z nadpalonym uchem w spalarni śmieci z wyhaftowanym na piersi napisem „Mój misiaczek na zawsze” z opowiadania *Omnis moriar*. Obok licznych przykładów opowiadań ukazujących słabości natury ludzkiej, pojawiają się też pytania o kondycję

i perspektywy współczesnego świata znakomicie zilustrowane na przykład w opowiadaniu *I co dalej* czy gorzka refleksja na temat patriotyzmu w opowiadaniu *Śmieciarz*.

Nie sposób oczywiście w kilku słowach odnieść się do wszystkich treści, w które obfituje ten niezwykły zbiór, chcę też zostawić nieco miejsca czytelnikowi na własne odkrycia. Niniejszy tom zawiera 30 opowiadań, przy czym niektóre z nich były także zamieszczone w poprzednim zbiorze. Tomik zilustrowany został niezwykle pięknymi artystycznymi fotografiami Alicji Posłusznej, które w niebanalny sposób interpretują zawarte w tomie opowiadania.

Ci z Państwa, którzy przeczytali pierwszy zbiór opowiadań Leszka Posłusznego nie będą potrzebowali dodatkowej zachęty, aby sięgnąć po jego kolejny tom, Ci zaś, którzy jeszcze nie zetknęli się z jego opowiadaniem, niech nie zwlekają, czeka ich bowiem nie tylko dobra zabawa, ale też autentyczne wzruszenie oraz możliwość spojrzenia na siebie i na otaczający nas świat z większym dystansem.

Maria Nadolna

Poznań, 30. 09. 2015 r.



WESELE

– Jak się bawisz Józku? – zapytała kobieta odziana

w wyjściową, wzorzystą suknię.

– A jak mam się bawić? – odburknął zaczepiony czterdziestolatek. – Źle.

– To tak jak ja. Zobacz stryja Kazia. Jeszcze przed oczepinami będzie leżał – zawyrokowała Grażyna, od dwudziestu lat szczęśliwie poślubiona Józefowi.

– A widziałaś tę jego nową lafiryndę? Widać parol zagięła na ojcowe morgi Kazia. Trochę poczeka, a potem dupą zawinie i tyle będzie znać nową rodzinę.

– A jak łypie zdzira na tego wodzireja z orkiestry – z niesmakiem dostrzegła wyuzdany kontekst pochwyconych spojrzeń.

– Pewnie jak Kaziu polegnie, wyturla się z nim w toalecie.

– Józiu, no wiesz... – spojrzała na męża z radosną dezaprobatą.

– Ja już swoje widzę. Nawet nie minie północ, a będą kwiczeć jak znakowane prosiaki.

– Józiu! – znowu napomniała małżonka, wprowadzając w rytmiczny ruch dwie wielkie róże, zdobiące górną strefę imprezowej sukni.

– Panna młoda widać, że nie z naszych. Jakaś taka kostropata.

– Bo ja wiem... – zamyśliła się Grażyna, spoglądając w stronę centralnego stołu. – Całkiem ładna, szczupła i cycek też ma.

– Ładna miska jeść nie da – spointował Józef przewidywalny potok przychylnych dywagacji.

– Może być – przyznała. – A zobacz babcię Krysie. Niby taka schorowana, a wlewa w siebie jak strażak.

– A jak zre. Jakby od Wielkanocy nic w gębie nie miała – dodał. – Ciekawe, jakie to choróbsko ją gnębi.

– Coś mówili o raku jajników.

– A skąd u niej jajniki? I po co? – zaśmiał się złośliwie. – Ona jest starsza od Malborka i dawno w środku już zdrewniała, jak ten nasz wiciokrzew pod tarasem. Nie rak, tylko kornik ją toczy.

– Ty już głupot nagadasz – wybuchnęła śmiechem kobieta.

– Ciocia Grażynka i wujek Józek. Widzę, że się dobrze bawicie – dosłyszeli zza pleców niespodziewane słowa bratanka.

– A tak, tak. Cudna ceremonia i weselisko jak się patrzy – wyrecytowała Grażyna.

– No to wujostwo, po maluchu – zaproponował bratank, unosząc kieliszek. – Za zdrowie mojego brata i jego ukochanej.

– Za zdrowie – podjęła ciotka.

– Daj mu Boże zdrowie, a żonie siły do pracy – zaśmiał się Józef. – Wódeczka i jedzonko też pierwsza klasa – skomentował, odstawiwszy kieliszek.

– Cieszę się, że wujostwo tak świetnie się bawi. I rodzinę można spotkać.

– Właśnie, właśnie. My już się stęskniliśmy. Tak mało jest okazji – zgodziła się, przybierając zafrasowaną minę.

– Człowiek wiecznie zalatany, a na przyjemności czasu nie staje – dodał wuj.

– Oto chodzi. Trzeba korzystać – rzekł radosny krewniak. – Używajcie do woli, ja biegnę do obowiązków. W końcu jestem świadkiem.

Uśmiechnął się i pognął w stronę młodych.

– Niby czego używać? Tego zimnego klopsa czy tej

berbeluchy z szemranymi naklejkami – skrzywił się Józef.

– A te sałatki, jakie niechlujne. Wszystko tam wpakowali, co im zostało w kuchni z tygodnia – dodała Grażyna. – Żeby się jeno ludziska nie pochorowały z tych pyszności.

– Przyjdzie rosół, to wyparzy – stwierdził autorytatywnie czterdziestolatek.

– Może być – odparła, porzucając troski.

Mijały godziny, a goście weselni, coraz bardziej rozluźnieni, zażywali tańców i trunków w zbliżonych proporcjach. Płasy stawały się śmielsze i bardziej wymagające gimnastycznie.

– Widzisz stryja Czesia, jak lofruje? – zapytała Grażyna, obserwując giętkiego jegomościa.

Stryj Czesław słynął w rodzinie z upodobania do wszelkich zabaw, jak również z dość wąskiego wachlarza używanych na co dzień słów. Jego wypowiedzi były z reguły szorstkie i często wprawiały słuchaczy w zakłopotanie. Zdjęta marynarka, wychodząca ze spodni koszula oraz zachęcająco rozczapierzone członki świadczyły wymownie, iż nazajutrz przeżyta imprezę Czesław zaliczy do udanych.

– Stary rajfur, jak gania po parkiecie te siusiumajtki – streścił obserwowany obraz Józef.

– Zawsze był obleśny. Pamiętasz, jak na Mariankowych chrzcinach wkładał łapę pod spódniczki kelnerek?

– A jakże, pamiętam. A jak na stypie po dziadku Janku zaczął tańcować z kierowniczką lokalu?

– No – pokiwała głową, przywołując niesmaczne obrazy.



„Ach ty młoda, nie frajerka wykup sobie pantofelka...” – dobiegło z parkietu, zwiastowanie frywolnych, weselnych rytuałów, przerywając pasmo żenujących wspomnień.

Większość gości utworzyła radosny krąg, celebrując staropolskie obyczaje, przy stołach zostawiając nieco koślawy zbiór matron i patriarchów, sprawiających wrażenie, iż jeśli nie reumatyzm, to na pewno decybele dopełnią ich szacownego żywota. Korzystając z nieobecności współbiesiadników, Grażyna i Józef sięgnęli po świeżo doniesione schabowe. Bez skrępowania zajadali się panierowaną świnką, ukradkiem obserwując mało skomplikowane zabawy.

„A teraz idziemy na jednego...” – usłyszeli.

Jak na komendę zakończyli łapczywą konsumpcję, odsuwając

nieznacznie talerze. Przyklejonymi uśmiechami powitali powracających weselników, którzy prawie jednocześnie uchwycili wypełnione kieliszki.

– A ta rodzina panny młodej jakaś taka nadęta – szepnął Józef do ucha małżonki.

– Sztywniaki. Za lepszych się mają – odparła. – W ogóle nie potrafią się bawić. Buce jedne.

Wnikliwą analizę znowu przerwała muzyka, podnosząc radosną gawiedź z krzesel. Niektóre z pań, zginając ręce w łokciach i nienaturalnie kurcząc szyję, ruszyły odważniej w stronę parkietu. Inne z kolei, obciągając dłonie wzdłuż bioder, zaczęły poruszać się jak gwiazdy nocnych programów. Ich kuszące ruchy zdawały się manifestować partnerom, iż dotąd skrywany seksapil, wielokrotnie przewyższa stan posiadania tych „dziwek z telewizora”. Nawet kuzynka Krystyna, dotychczas nie uczestnicząca w płaszach, ruszyła niespodziewanie kłusem w kierunku tańczących, unosząc do góry prawą dłoń i wymachując niewidzialnym lassem. Jej drapieżna postawa dobitnie świadczyła, iż przyjęte oktawy pozwoliły wreszcie na przekroczenie krępującej bariery dźwięku. Mężczyźni zaś, globalnie porzucali mięśnie karku, skupiając się na dolnych partiach swoich tancerek. Niektórzy z nich odkrywali greckie korzenie, oplatając siebie łańcuchem ramion i drepcząc bezładnie tworzyli Zorbowskie kręgi.

Nagle twarz Józefa zeszywniała. Spojrzał przerażony na żonę.

– Ja pierdolę. Węzyk – syknął.

Nieokiełznana machina, pchana znaną piosenką o pociągu, zbliżała się nieuchronnie w ich kierunku, wsysając napotkanych

weselników.

– Kibel! – zakomenderował, podrywając się z krzesła.

Grażyna aż podskoczyła, dostrzegając kątem oka bezlitosną lokomotywę. Gwałtownie podniosła się z miejsca i ruszyła w kierunku znikającego Józefa.

– Zdążyliśmy – rzekła, gdy tylko dotarła do drzwi toalet i zdyszanego męża.

Szalony skład ostro zawrócił przed wyjściem z sali na korytarz, wyrzucając z bebeczków kilku radośnie wrzeszczących pasażerów. Grażyna i Józef odczekali kilka pełnych okrążeń.

„A teraz idziemy na jednego...” – usłyszeli głos zawiadowcy, ogłaszającego dotarcie do stacji docelowej.

Zasapany, bezduszny potwór po chwili przestał istnieć. Józef ujął swą ślubną pod rękę i nie rzucając się w oczy, poprowadził na przydzielone miejsca.

– Józiu, Grażynka, to po maluchu! – usłyszeli głos stryja Czesława, gdy tylko zasiedli za stołem.

– My już dziękujemy – wyhamowała stryja kobieta.

– A zatańczysz ze stryjkiem Graszka?

– Nie, nie. Dziękuję. My nie tańczymy – odparła, kierując wzrok w nieokreśloną stronę.

– To na chuj żeśta tu przyszli? – skwitował pytaniem stryj Czesław, oddalając się chwiejnym krokiem.



DWIE KOBIETY

– Pani Helenko, kwitnąco pani wygląda – zagadnął może czterdziestoletni mężczyzna w sztruksowej marynarce.

– Ależ panie prezesie – skwitowała komplement. – Pan taki miły.

– Pani zawsze czyściutka, elegancka i wiecznie uśmiechnięta. Mam nadzieję, że małżonek zdaje sobie sprawę, że jest szczęściarzem.

– Nie zawsze, nie zawsze – uśmiechnęła się filuternie.

– A to niewdzięcznik! Zaraz zadzwonię do prokuratury – udał radosne oburzenie.

– Z pana taki żartowniś – skuliła się nieco, kryjąc dziewczęce rozbawienie. – „Babę zesłał Pan” – dodała, parafrazując słowa popularnej piosenki.

– I postawił jako dzban – zaśmiał się szef z nowo odkrytego raperskiego talentu.

Gromki głos dwupłciowego śmiechu wypełnił pomieszczenia korytarzowe szacownej kancelarii adwokackiej. Rozbudzeni hałasem pracownicy z uwagą rejestrowali rozbawioną parę, zmierzając do pokoju konferencyjnego.

– Pani Helenko, prosimy o termos kawy i dzbanek jakiegoś soku – zaordynował oficjalnym tonem główny wspólnik kancelarii, gdy wszyscy zajęli swoje miejsca za jajowatym meblem.

– W tej chwili – zareagowała sekretarka i wyszła z pokoju, cichutko zamykając drzwi.

Za stołem siedziało dziesięć niedospanych osób. Cztery damy skupiły się po jednej stronie, a sześciu panów po drugiej. Gdyby

nie lekko zblazowane oblicza uczestników, sytuacja byłaby tożsama ze wstępnym rozmieszczeniem frakcji na wiejskiej zabawie. Trzech z mężczyzn konfidencjonalnie wymieniało między sobą uwagi. Ich czerwone nosy i zażawione oczy świadczyły o tym, iż poprzedni wieczór należał do nich. Cichutko dementowali tajemnice sprzedane sobie poprzedniej, wesołej nocy.

– Nie, nie. Ja nie to miałem na myśli – dało się słyszeć wyznanie trzydziestolatka, którego separatystyczne plany poprzedniego dnia musiały być najbardziej radykalne.

Mężczyzna siedzący obok rozmówców, najstarszy z grona, sprawiał wrażenie wypranego ze wszystkich, światowych podniet. Jego wzrok bezmyślnie śledził sunące obłoki na niebie, którego zgniły kolor zwiastował rychłe nadejście nieprzyjaznego deszczu. Wpatrzony w tafle okna zamarł w oczekiwaniu czegoś, czego jeszcze nie doświadczył. Jego mina zdawała się mówić, iż do wyboru pozostały mu już tylko wybuch jądrowy i poród świnki morskiej zapłodnionej przez niedźwiedzia.

Kolejny dżentelmen z szubrawymi i świdrującymi oczkami przechylał się nienaturalnie w stronę konspirujących, chcąc jak najwięcej dosłyszeć z pikantnych dementi. Od lat kolekcjonował fakty i plotki, łatwiej dając wiarę tym drugim. Kiedy trzeba było kogoś udupić, jego spektakularna pamięć uruchamiała wszystkie zasłyszane bezceństwa, tworząc niebagatelną przewagę nad adwersarzem. Najbliżej prezesa, który był jedenastym członkiem roboczego spotkania, był postawny, dojrzały jegomość. Był wyjątkowo smutny. Wyglądał, jakby cały poprzedni wieczór zmarnował na proszenie swojej małżonki o odrobinę przydziałowego seksu, a nawet jakby ten proceder

szczelnie wypełniał mu ostatnich parę lat. Beznamiętnie spoglądał na rząd dorodnych niewiast siedzących naprzeciwko. Niczego od nich nie chciał. Kiedyś próbował pomścić domową posuchę, lecz jego umizgi były tak niezręczne, że aż szkaradne. Skala jego powodzenia wyraźnie dowodziła, że o powikłanej, niewieściej naturze wiedział tyle, co o zastosowanej technologii polimerowej przy budowie nowoczesnych łodzi podwodnych o napędzie rakietowym. Podparł teraz podbródek, bezmyślnie analizując chemiczny skład powietrza w roztaczającej się przed nim przestrzeni. Vis a vis tej przyszarzałej, samczej gromady siedziały cztery trzydziesto, może trzydziestoparoletnie panie. Wszystkie z nich były pracowite i ambitne. Ich energia była odczuwalna w całej sali. Tylko subtelne różnice jej natężenia wynikały niechybnie z bliskości fizjologicznych cykli, lecz ich gotowość do walki była wspólna i jakby obligatoryjna. Trzy z nich, były kobietami wolnego stanu, po rozwodach. Jedna zaś, najstarsza i również najładniejsza, zdążyła pochować już swego oblubieńca, idealizując wspomnienia z nim związane. Widać było, że jej niewątpliwa inteligencja kazała niekiedy zastanowić się nad faktem, iż dla współczesnych niewiast najlepsi mężczyźni są z reguły martwi albo zajęci przez inne, tak samo myślące damy. Wszystkie panie jednako prezentowały zawodową drapieżność i bezkompromisowość. Mimo, że większość prowadzonych przez nie spraw dotyczyła zakresu prawa rodzinnego i opiekuńczego, ich zaangażowanie emocjonalne daleko przekraczało uczuciową empatię oskarżycieli w procesach Norymberskich. Miały bezsprzeczną przewagę nad swoimi kolegami z kancelarii, były dyspozycyjne i posiadały pełną władzę nad swoim czasem. Takie przynajmniej sprawiały wrażenie. Ubrane były bardzo różnie, zarówno pod

względem kolorystyki, jak i kroju przyodziewku. Przeważające, subtelne pastele świadczyły dobitnie o swych narodzinach w głowach modnych i drogich projektantów. Jedno jednak miały wspólne – oczy. Drapieżne i zimne, lecz zarazem głodne i tęskne za czymś nieokreślonym.

– Jest kawka i soczek – zareklamowała Helena, bezgłośnie wsuwając się do pokoju.

– Jak miło. Nasza pani Helenka jest nieoceniona – rzekł prezes, łapczywie chwytając termos z poranną dawką kofeiny.

– Ktoś jeszcze czegoś sobie życzy? – zapytała.

– Dziękujemy pani bardzo. Proszę przez godzinę z nikim nas nie łączyć – uśmiechnął się gospodarz spotkania.

Niezastąpiona pomoc biurowa cichutko ruszyła w stronę drzwi obłana radosnym rumieńcem. Sąsiad prezesa przerwał na chwilę myślenie o niczym i utkwiał wzrok w wychodzącej kobiecie.

„Taka to marzenie” – pomyślał. „Ładna, miła, uczynna i na pewno usłuchana. Z taką nigdy nie dotarłby do zakamarków świadomości w poszukiwaniu samoakceptacji. Nie zadawałby sobie dręczącego pytania: co ze mną jest nie tak? Nie zastanawiałby się wreszcie nad odpowiedzią kolegi, która padła pewnego wieczoru, gdy po wielu drinkach odważył się skierować je nie do siebie: bo ty, Henio, pizda jesteś” – dźwięczało mu w głowie od czasu tamtej, pamiętnej imprezy. Znowu posmutniał i wrócił do zarzuconej intelektualnej próżni.

Sekretarka delikatnie zamknęła drzwi i rozpoczęła swój codzienny, śniadaniowy rytuał. Równiutko pokrojone cztery kromki chleba natłuściła omastą o temperaturze pokojowej. Jako spiżowego fundamentu użyła plastrów szwajcarskiego

sera, który nigdy nawet nie powąchał państwa Helwetów. Rodzimy pomidor symetrycznie spoczął na przygotowanej żółtej podbudowie. Nagie, słoneczne przestrzenie szczelnie wypełniła strzępioną rzodkiewką z importu. Jeszcze szczypta przypraw, kilka kuleczek granatowego kawioru, mgiełka mielonej papryki i wazeliniarski posiłek szefa był gotów wypełnić codzienną dawkę bezceremonialnego włożenia w dupę.

– Perfekt – cmoknęła, odsuwając się, by nabrać odpowiedniej perspektywy i ostrości lekkostrawnego obrazu.

Zza drzwi sali konferencyjnej dobiegały spokojne głosy. Helena dawno już zarzuciła proceder nasłuchiwania treści przenikających przez nowoczesne ściany. Po kilku próbach dotarło do niej, iż żadna z omawianych przez adwokatów spraw, nie nadaje się na gorącego niusa, powtarzanego z wypiekami na twarzy podczas cyklicznych, rodzinnych spotkań. Odkąd zrozumiała, iż specjalnością kancelarii są sprawy gospodarcze i niekiedy rodzinne pojęła, że trupa nie będzie. Dobrze pamiętała swój pierwszy dzień pracy, gdy pełna emocji rozglądała się za amerykańskim tempem wpadających do kancelarii adwokatów. Pamiętała bolesne rozczarowanie, gdy jegomość z nienaturalnie nabrzmiętym nosem, w wymiętym garniturze oklejonym włosami z sierści starego kota wyciągnął do niej niepachnącą dłoń i przedstawił się, zionąc strawionym winem, przemieszonym z chłodem mięty reklamowanej pasty do zębów.

– Mecenas Mordaś. Procedura cywilna – wycedził.

– Helena Zimorodek – odparła, z przerażeniem taksując gwałciciela jej telewizyjnego ideału.

Przez chwilę chciała uciekać, lecz kolejni prawnicy nieco

delikatniej ugruntowali jej nowy obraz współczesnej palestry. No i wreszcie szef, którego pojawienie się wlało w jej serce krople nadziei na rekonstrukcję środowiska i wyobrażeń prawnika z hollywoodzkich filmów. Dziarski prezes, wspólnik i zarazem adwokat był człowiekiem statecznym, niespecjalnie lotnym, lecz zdecydowanie najlepiej wyglądającym na tle pozostałych. To on właśnie odbywał wstępne rozmowy z klientami, poszerzając przed nimi horyzonty prawnego bezpieczeństwa, bez względu na fakt czy rozmawiał z majętnym utracjuszem, oszukanym podatnikiem, czy ze zwykłą gospodarczą kanalią. „Stała obsługa podmiotu” to w kancelarii najczęściej stosowane określenie kojarzące się z osiągniętym sukcesem. Odrębną i ważką rolę odgrywały schludne panie mecenas. Zajmowały się bowiem prywatną częścią egzystencji obsługiwanych klientów. Zakres spraw, którym się bez reszty poświęcały był bardzo szeroki: od postępowania wytoczonego stomatologicznemu niechlujowi, który zostawił gnijący korzeń trzonowca powodowi, przez mnogość rozwodów, do szarpanych ustaleń praw do opieki nad ukochanymi pacholętami. Taki właśnie podział obowiązków sprawnie funkcjonował w kancelarii, w której pani Helena pracowała nieprzerwanie już od czterech lat.

Spojrzała na zegar ścienny z wyrytym logo jednej z obsługiwanych firm. Kończyła się druga godzina roboczego spotkania, co niechybnie zwiastowało zbliżający się koniec zwyczajowej niasiadowy. Stanęła przed lustrem ściennym, wygładziła wzdłuż bioder lekkie falbany koronkowej bluzeczki z dużym dekoltem. Podciągnęła dopasowane spodnie zakończone ażurowymi butami na wysokim obcasie i odgarnęła na chwilę blond grzywkę, odsłaniając skrzętnie ukrywane,

nienaturalnie przyciężkawe powieki.

– Muszę coś z tym zrobić – zmrużyła oczy, przybliżając się do swego odbicia.

Szczupłymi dłońmi uformowała pożądany układ fryzury i szerokim, serdecznym uśmiechem oznajmiła światu gotowość do nowych, nudnych wyzwań.

Gdy tylko przysiadła za swoim biurkiem, drzwi otworzyły się bez specjalnej energii. Gromada mecenasów kolejno wyłaniała się z sali, obdarzając sekretarkę przyjaznym uśmiechem.

– Pani Helenko, ma pani jeszcze ten katalog z odżywkami na jesień? – zapytała jedna z adwokatek.

– Oczywiście, pani mecenas – potwierdziła przychylnie zaczepiona.

– To proszę wpaść do mnie i przy okazji go zabrać. Dam też pani krótką umowę do skserowania w trzech egzemplarzach. No i poplotkujemy troszkę – rzekła, szczerząc białe, równe zęby.

– Zaraz będę – odparła, uśmiechając się smukła pani Zimorodek.

Nastał lekki rozgardiasz. Wszyscy adwokaci mieli pilne sprawy do sekretariatu kancelarii. Helena stała wyprostowana, przyjmując kolejne zapotrzebowania prawników. Sprawiała wrażenie spokojnej i panującej nad chwilowym zamieszaniem. Lubili zwracać się do niej, bowiem już dawno zauważyli, że rozmowa z nią, nie wiedzieć czemu, wymuszała naturalny uśmiech. Jej szczery, radosny grymas był niemal tak zaraźliwy, jak przekłeta, przedszkolna ospa, piętnująca natychmiast swoich nieszczęśliwych posiadaczy.

– Pani Helenko – rozległ się ciepły głos z sali konferencyjnej,

gdy tylko umilkł konstruktywny rwetes w sekretariacie.

Subtelnie chwyciła przygotowaną tacę z równiutko ułożonymi kanapkami, niezauważalnie łypnęła na swe odbicie w ozdobnych witrażach starej szafy i ruszyła w kierunku nawołującego dźwięku. Szef uniósł wzrok znad rozpostartych przed nim papierów i natychmiast się rozpromienił.

– Anioł kwatermistrz – powiedział.

Skala radosnej mimiki pani Zimorodek osiągnęła dziesiątkę, przestrzegając, iż jedenastka może grozić trwałym naderwaniem delikatnych kącików ust. Smakował kolejny kęs, mrużąc oczy z rozkoszy.

– Dotykam nieba – rzekł, przełykając.

– Przesadza pan prezes – powiedziała.

– Ani tyci – poruszył głową w zaprzeczeniu.

Popił odrobinę soku pomarańczowego. Akurat tyle, by nie zbałamucić smaku drugiego śniadania. Odchylił się wygodnie i dopiero teraz szeroko otworzył oczy.

– Pani Helenko, moje kubki smakowe doznały niekontrolowanej erekcji, po czym przeżyły fizjologiczno-metafizyczne uniesienie znane tylko najwrażliwszym poetom. I cały ten proces zamknął się w obrębie krótkiego posiłku – rzekł rozmarzony. – Pani obiad z podwieczorkiem byłby dla moich zmysłów pierwszym i ostatnim. Choć może właśnie tak warto pożegnać ten nieprzyjazny świat.

– Pan prezes jak zwykle kokietuje – odparła oblana rumieńcem adresatka pochwalnych hymnów, zbierając naczynia ze stołu.

By ukryć zbyt szczęśliwe przebarwienia policzków, szybko

ruszyła w kierunku sekretariatu. Prezes odprowadzał ją wzrokiem, z zachwytem doceniając smukłą kibić i erotyczne rozkołysanie, spiętych materia pośladków.

„Aś ty, króliczku. Twój stary ma z ciebie pociechę” – pomyślał najedzony i rozochocony. „Boże, jacy faceci są prości w obsłudze. Nakarmić, zakręcić dupskiem i po chłopie” – skonstatował, przywołując się do porządku.

Wyraźnie spełniona białogłowa, z grymasem szesnastolatki, zamknęła drzwi i wróciła do swego przechodniego pomieszczenia. Kolejne godziny pracy minęły jej na żmudnej segregacji korespondencji i informowaniu klientów o zbliżających się terminach sądowych.

– Bardzo panu współczuję, ale może to tylko pana podejrzenia, zbieg nieprzychylnych okoliczności – dało się słyszeć głos zbliżającej się korytarzem pani mecenas.



– Myśli pani? – Helena dosłyszała pełne nadziei pytanie mężczyzny po drugiej stronie fali radiowej, wzmacnione mało intymnym głośniczką, współczesnego aparatu telefonicznego.

– Głęboko w to wierzę. Może on naprawdę przyszedł naprawiać nogi waszego łóżka, jak oświadczyła pańska małżonka.

– Kurwa, na golasa?! – wrzasnął rozmówca.

– Oj tam, na golasa. Mówił pan, że miał spodenki i skarpety. Może się spocił albo zabrudził.

– Jedną – padło suche sprostowanie z aparatu.

– Co jedną? – zapytała pani mecenas.

– Skarpetę – oświadczył ciszej. – Miał jedną skarpetę.

– Aha, no tak – zrozumiała. – Panie Krzysiu, głowa do góry,

znam pana i pana żonę i nie wierzę, by któreś z was mogłoby szukać przygód.

Głos w słuchawce zamilkł, niechybnie wyświetlając właścicielowi serię wspominkowych kadrów z jego własnych, biznesowych dokonań pełnych świecidełek, alkoholu, jaskrawych neonów, a nade wszystko bogatych w tabuny usłużnych panienek.

– Może ma pani rację – usłyszała sekretarka po dłuższej chwili. – Może się utyłł jakimś kurzem.

– No widzi pan, panie Krzysztofie – rzekła prawniczka. – Proszę mi wybaczyć, ale teraz wchodzę do sali sądu. Muszę uczestniczyć w okazaniu.

– Oczywiście, oczywiście pani mecenas – szybko wyraził zrozumienie rozmówca, nie kojarząc za nic w świecie, czym jest tak poważna czynność jak okazanie. – Muszę troszkę obsztorcować gosposię, bo faktycznie pod łóżkiem w sypialni u nas jak w chlewie.

– Miłego dnia panie Krzysztofie. Jak mówiłam, głowa do góry. Pozwoli pan, że dopiszę godzinę – serdecznie pożegnała się pani adwokat.

– Co? Aha, godzinę. Dobrze, dobrze. Na firmę. Na koniec miesiąca. Dziękuję pani za wszystko.

– Święci pańscy, co za debil – podsumowała jurystka, aktorsko opadając na blat biurka. – On ma więcej rogów niż wszystkie szamańskie totemy w Afryce i Ameryce Południowej razem wzięte. Jego ukochana małżonka chyba nie spała dotychczas już tylko z kontrabasem i rączką od wiadra, chociaż za to drugie nie dałabym głowy.

– To dlaczego mu nie pomożemy? – zapytała z zainteresowaniem zatroskana pomoc biurowa.

– A widzisz moja miła, to groziłoby utratą klienta strategicznego. Oni są równoprawnymi współwłaścicielami firmy „Bigos & Pyzy”. A chyba nie chcemy pomniejszyć fakturki miesięcznej o połowę. Prawda? – Pani mecenas rzeczowo wyjaśniła stan faktyczny, spoglądając na nią pytająco.

– No nie – potwierdziła, bez entuzjazmu.

– Więc dopóki on za nią szaleje, fakturka będzie niezmienna jeszcze przez jakiś czas – wstała, z zadowoleniem uderzając dłonią w politurę masywnego mebla.

– Dopisz „Bigosowi” godzinną poradę prawną.

To powiedziawszy, radosna pani adwokat udała się w stronę swojego gabinetu.

Helena z podziwem odprowadzała wzrokiem elegancką postać.

„Mądra kobieta” – pomyślała i machinalnie spojrzała w stronę ściennego czasomierza.

Zegar powoli zaciągał już kotarę nadchodzącego, jesiennego wieczoru. Przymknęła oczy, delikatnie przepychając wskazówkę w stronę pożądaney godziny fajrantu i metodycznie zaczęła zbierać z biurka wszystkie przedmioty podlegające codziennemu transportowi. Gdy nadeszła godzina siedemnasta, świat nadal tkwił w rozkroku pomiędzy dniem a nocą. Pożegnała wszystkich wychodzących z uśmiechem, w oczekiwaniu na ostateczne zamknięcie wrót przyczółku etyki i sprawiedliwości.

Piesza trasa do domu wiodła przez kilka przecznic. Mijane sklepy kusily swoimi wystawami. Niektóre z nich Helena

odwiedzała z obowiązku, inne zaś z wyboru. Nie minęła godzina, a kobieta stała przed drzwiami klatki schodowej, nachalnie przyciskając kwadratowy guzik domofonu.

Nagle, jakby zza węgła, jesienna ciemność dokonała cyklicznego rozboju na resztkach światłości. Ciepły, elektryczny blask zaczął rysować nowe kształty znanych okolic. Rozejrzała się wokół, nie przestając molestować sygnalizatora domofonu. Przeszył ją zimny dreszcz, zaciskając dotąd neutralnie rozwarte usta. Dosłyszała głośny zgrzyt zwierających szczęk. Bezwiednie pozwoliła opaść górnym powiekom, zawężając znacznie pole widzenia. Jej kocie spojrzenie zdawało się wypatrywać zagrożenia. Samoistne skupienie łowcy naprężyło wszystkie jej mięśnie.

– Kto tam? – wycedził elektroniczny modulator.

– A kto ma być? Otwieraj! – padła szorstka odpowiedź.

Pchnęła drzwi, które po chwili zatrzasnęły się z charakterystycznym zgrzytem. Jak co dzień szybko uporała się z dylematem sensu korzystania z windy, po czym ciężko pomaszerowała na pierwsze piętro czteropiętrowego budynku. W uchylonych drzwiach stał już uśmiechnięty, przystojny mężczyzna.

– Czego się szczerzysz? – syknęła na powitanie.

– A, ot tak – odparł mąż. – Miałem dobry dzień w pracy.

– To ci zazdroszczę, bo ja jestem skonana. Nie wiem czy to ciśnienie, czy jakieś choróbsko mnie zżera. Także lepiej mnie dzisiaj nie wkurzaj – powiedziała, odkładając pakunki na stół kuchenny.

– Zjemy coś? – nieśmiało zapytał.

– A zrób se sam. Ja muszę na chwilę się położyć.

Nie minął kwadrans, a z małżeńskiej sypialni zaczął dobiegać jednostajnie ciężki oddech przerywany nienaturalnie męskimi charchnięciami.

Sebastian zlustrował przyniesione zakupy. Machinalnie otworzył lodówkę i z miną pełną bezsilności zgasił światło w kuchni. Rozsiadł się w wygodnym fotelu i sięgnął po odłożoną książkę. Z radia cichutko sączyły się melodie jego młodości. Szybko odnalazł kontekst przerwanego tekstu, zatapiając się w treści marynistyczno–wojennej literatury. Spokojny rytm kolejnych stron zdawał się kojąco wpływać na jego stan świadomości. Nagle, zupełnie bez własnej woli, dobiegły go słowa popularnej piosenki: „Dzień, niepodobny do dnia...”. Nachalne zdanie nie mogło przebrzmieć w jego głowie. Zamknął książkę, zaginając róg ostatniej, przeczytanej strony. Odchylił do tyłu głowę, skupiając się na natrętnym, muzycznym fragmencie.

„Przecież wczoraj było tak samo, i przedwczoraj, i tydzień temu też” – pomyślał.

Bezwiednie zaczął poszukiwać w pamięci miłych chwil związanych z powrotem małżonki z pracy. Nie znalazł. Po chwili mózg, w tęsknocie za równowagą, zaczął zarzucać go obrazami z narzeczństwa. Wizerunek miłej, wiecznie wesołej trzpiotki powoli przejmował władzę nad realistyczną wizją zmęczonej, oschłej i wulgarnej partnerki. Mężczyzna znowu pochylił się nad lekturą, bezgłośnie ogłaszając osiągnięty stan pogodzenia. Piosenki ponownie stały się beztreściwą, miłą dla ucha, linią melodyczną. Zbliżał się do końca rozdziału, gdy drzwi sypialni otworzyły się z impetem, ukazując koszmarną, rozczochraną

postać, szybkim krokiem kierującą się w stronę toalety.

– Co się.... – zdążył wycedzić w stronę dynamicznego zjawiska.

– Gówno – usłyszał szpetne słowo poprzedzające trzaśnięcie drzwiami do ubikacji.

W pełnym niezrozumieniu Sebastian wyczekiwał na opuszczenie przybytku przez ślubną. Natężenie bezceremonialnych, fizjologicznych dźwięków dobiegających zza drzwi toalety tylko wzmagало jego niepokój. Po dłuższej chwili, którą mężczyzna poświęcił na niespokojne wpatrywanie się w nieprzyjazne wrota, kobieta opuściła toaletę.

– Helenko, co się stało? – zagał pojednawczo.

– Ty cwaniaczku, wiesz co się stało. Teraz to do mnie dotarło – odparła. – Wiesz dobrze, że mam nosa do łajdactwa.

– Jakiego łajdactwa?! – wykrzyknął.

– Ty wiesz jakiego. Miałam już drugi w tym tygodniu sen, że mnie zdradzasz.

– Ja?! – wykrzyknął zdezorientowany.

– Ty. A kto mi się śnił? Przecież nie sąsiad – odpaliła szorstko.

Małżonek, próbując opanować wzbierającą złość, energicznie odwrócił się w drugą stronę, chwytając książkę. Demonstracyjnie otworzył na zaznaczonej kartce, próbując pochwycić zarzucony wątek.

Minął kwadrans, gdy Helena ostentacyjnie pojawiła się w salonie, włączając telewizor. Na głowie miała cztery wałki, mające uformować jej nieznośną fryzurę. Mężczyzna nie podnosił wzroku znad książki. Kiedy jednak minął kolejny kwadrans milczącego współistnienia, spróbował zagadnąć,

mając nadzieję na ostateczne pożegnanie sennych koszmarów.

– Może zrobisz jakąś kolację? – delikatnie spróbował.

– Niech ci te kurwy zrobią – odrzekła kategorycznie.

– Ja pierdolę! – zaklął, ciskając książkę na blat stolika i wychodząc do kuchni.

– O proszę, jaki bierno-agresywny. Tak zachowuje się winny – usłyszał.

– Ja pierdolę, co za kłoc – powtórzył, stając naprzeciw kuchennego okna.

Kolejną godzinę wieczoru Sebastian spędził na szykowaniu i konsumpcji obiadokolacji, nade wszystko unikając kontaktu z małżonką. Kiedy przepełniony połykał ostatni kęs, do kuchni nieco spokojniej weszła jego wybranka.

– Może byś tak mnie przeprosił? – zagała.

– Ja?! A za co? – odparował z niekontrolowanym podnieceniem.

– Za kłoca – szybko usłyszał przygotowaną ripostę.

Bez słowa wstał i ruszył w kierunku sypialni.

– Pranie też niech ci robią te dziwki! – dobiegło go kuchenne wskazanie oblubienicy.

Nic nie odpowiedział. Nie zażywając kąpieli, szybko położył się w małżeńskim łóżu, próbując jak najprędzej zatopić się w objęciach Morfeusza. Jeszcze tylko poczuł niedelikatne zaistnienie oblubienicy we wspólnej alkwie i zasnął pożegnawszy kolejny dzień jak co dzień.

Poranek zastał Helenę w pustym łóżu. Przeciągnęła się niedbale, dostrzegając małą karteczkę na poduszce Sebastiana. Przybliżyła ją do zaspanych oczu, jakby w poszukiwaniu

kalibracji ostrości:

„Jędz, jeśli nie zaczniesz się uśmiechać, to zmienię wiarę, oderwę tobie ten nienawistny łeb, a Allah już zadba, o co najmniej setkę dziewic w ramach zadośćuczynienia” – przeczytała odręczne pismo małżonka.

– Patrz, jak to się napuszył zboczeniec – podsumowała złowrogą treść.

Spojrzała na mobilizujący zegarek, sprawnie podejmując zwyczajowe czynności.

– Pani Helenka jak zwykle śliczna i cudnie wesolutka – rozbrzmiały słowa dystyngowanego prezesa kancelarii na widok radosnej, niezastąpionej sekretarki.



BOBAS

Niewprawnym ruchem podciągnąłem niebieską kołderkę. Rozejrzałem się wokół. Nikogo przy mnie nie było. Wprawiając w ruch moje niedoświadczone kończyny, poczułem przeszywający ból brzucha.

„Znowu ta pieprzona kolka” – pomyślałem.

Jakby od niechcienia, zacząłem wydawać niezrozumiałe dźwięki alarmowe. Ku memu zaskoczeniu drzwi się nie otwierały i nikt nie przybywał z pomocą. Wzmocniłem wydawany głos, kątem oka obserwując klamkę. Nic.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

